

ROZMAITOŚCI

WARSZAWSKIE.

N^{er} 91.

— DODATEK DO KORRESPONDENTA. —

1834.

PANNA NA WYDANIU.

(Dokończenie.)

Gdy się taniec skończył i odprowadziłem ją na swoje miejsce, Panienska siadając podziękowała mi z uśmiechem uszczęśliwionej osoby, matka zaś, mniej bojaźliwa, a równie grzeczna, kazała mi usiąść między sobą a córką.

Skorom się tylko umieścił, natychmiast dwóch lokai, posłusznych na skinienia swej Pani, stanęło przede mną, trzymając na wielkich dwóch tacach różne smaczne rzeczy do jedzenia i picia. Nie dałem się długo prosić, a gdy się ochoczo tem zajmował, popijając dobrem winem każdy kawałek, matka i córka mówiły mi piękne rzeczy, pobudzające do śmiechu, i śmiały się z tego, cokolwiek z ust moich wyszło, z których jednakże mniej wychodziło, jak wchodziło. Gdy już kilka kieliszków wysączył, słyszałem matkę, mówiącą z cicha do córki: jak on jest ładny! a córka z westchnieniem odpowiedziała: Ładny! Nie mogłem pojąć, z kąd tak nagle nabyłem tyle przyjemności, i już miłość własna szeptała mi do ucha, iż muszę mieć jedyny dar podobania się, kiedy mnie matka zazdrości córce. Już nawet zacząłem się obawiać, aby mnie nie wykradziono tej nocy, gdy nieszczęśliwy tancerz, jeden z moich przyjaciół, postrzegłszy mnie, przybliżył się i wita, wymawiając moje nazwisko...

Matka z córką spojrzały na siebie z zadziwie-

niem, umilkły obie, śmiech ustąpił i jakaś wielka niechęć dała się widzieć na ich twarzach.

Radca, który mnie wprowadził, zbliżał się właśnie ku nam; przyjemna mama porwała się na przeciw niego i weszła z nim w chwilową rozmowę. Ja osądziłem za rzecz przyzwoitą powiedzieć co przez ten czas mojej pięknej sąsiadce, ale ona z taką niecierpliwością wlepione miała oczy w matkę, że nawet nie słyszała słów moich.

Matka, za powrotem na miejsce, odwróciła się ode mnie i zaczęła z córką telegraficzną rozmowę, w ciągu której te dwie twarze, niedawno tak wesołe i uśmiechające się jak nadzieja, zmieniły się nagle w smutne, jak tego szulera, co ostatni przegrałszy talar, spogląda na Wisłę.

Starałem się ile możliwości jeść, pić, śmiać się, zdobywałem się na różne koncepta, wszystko nie nie pomogło, żadnego w tem nie znajdowano dowcipu i nie słuchano zupełnie.

Panna przypomniała sobie, że od dawna zamówioną była do kontradansa, którego ze mną tańczyć miała, a matka prosiła mnie, abym chciał ustąpić miejsca dla jednej z przyjaciółek, która w ten moment do salonu weszła.

Odurzony tak gwałtowną rewolucją, udałem się do mego Radcy, opowiadając jak najkrócej całe moje zdarzenie, i prosząc, aby mnie mógł w tem objaśnić; na co on taką mi dał odpowiedź: »Ja tu ciebie wprowadziłem na miejsce pewnego ka-

walera, który ma stotyściey intraty, a którego gospodyni domu chce mieć za zięcia, i zapomniatem tej przezornej matce oświadczyć, że zamiast dziedzica bogatego, przedstawiam jej aplikanta.

— Przypadek ten nie miał żadnych złych skutków. Młodzieniec przez to nie stracił nawet gustu do balików, a mama miała na później przestrożę, że w przyjęciu i ocenianiu młodzieży nie trzeba być tak porywczą. Ale następujące zdarzenie może nas nauczyć, jaką w wyborze tej wiecznej towarzyszki, którą jest żona, potrzeba zachować ostrożność:

Znałem nieco kawalera pewnego, który w oknie balkonu, naprzeciw swego mieszkania, widywał codziennie młodą panią, która pomimo dość ładnej twarzyczki, miała tak długie włosy blond, tak pięknego koloru, takiej delikatności i tak sztucznie i gustownie zawsze ułożone, że dla samych włosów trzeba się w niej było koniecznie zakochać. Otóż i młodzieniec nasz nie mógł sobie inaczej postąpić.

Nie widział przed sobą jak tylko blond włosy, nie mówił i nie marzył o niczem, jak tylko o włosach blond i prawie nie odchodził od okna, aby się mógł nieustannie cieszyć ich widokiem. Panią ukazywała się jak najczęściej, a jej porcelanowe oczy niebardzo się oburzały na te ciągłe wpatrywanie się młodzieńca.

Pokazując mi ją raz, mówił do mnie: »Są zapewne doskonalsze piękności, ale przyznaj, co za przyjemna regularność rysów jej twarzy! co za szczęście dotykać się tych blond włosów, — pieścić się z temi lokami jasnymi!« — A! więc ożeń się, powiedziałem mu. — Ah! gdybym tylko mógł! — A że posiadał dość znaczny majątek, był jedynakiem, mieszkał tak blisko niej

i ledwie że nie w tym samym domu, nie widziałem żadnej przeszkody, dla czego nie mógłby się ożenić. Jakoż oddawszy wizytę rodzicom, był bardzo dobrze przyjęty; znalazł Panią słodką, przyjemną, niewinną jak dziecko, i otoczoną cnoty wdziękami. A na dowód, że posiadała talenta, miała w salonie harfę, gitarę i fortepian, w sali zaś jadalnej podstawek do malowania. Uszczęśliwiony młodzieniec znalezieniem tak udoskonalonej istoty, z końcem wizyty był już na śmierć zakochany.

Przy drugiej wizycie rozmowa szła z większą łatwością: Panią mówiła o romansach, chwaliła niektórych autorów, ganiła wolne wystawienia się Pawła Kokka, co dowodziło trochę mniej naiwności, jak się zdawało. Ale te małe plamki, pochodzące z napytywu nauk, pokryte były zupełnie przyjemnymi talentami: ośmnastu tysiącami złotych rocznego dochodu, a nielską słodyczą, a nadewszystko temi włosami jasnymi, których widokiem nie mógł się nacieszyć.

Jednakże doświadczył on nieco zgryzoty, gdy po ciągłych przez cały miesiąc prośbach, aby panna pozwoliła być sędzią swych talentów, odkrył niebiorak, że podstawek malarski służył do trzepania sukien; harfa i fortepian do ozdoby salonu, a talenta młodej osoby ograniczały się na zaśpiewanie: »Te brzoza kilka« przy gitarze.

Było to nieszczęście, ale odbierając od tego miłego stworzenia tyle dowodów przywiązania i czułych wyrazów, miłość jego przez to nie mogła się zmienić. A potem to postępowanie z nim otwarte mogłoby skompromitować przyszłość Panią, gdyby uczciwy człowiek, który tak daleko zabrnął, opuścił ją. Na kilka dni przed ślubem, jakieś zmyślane bankructwo, ogłoszone ze łzami i płaczem całej rodziny, dało mu poznać, że na obiecane trzykroć sto tysięcy posagu nie może rachować. Dość wspaniały, ażeby interes mógł go zatrzymać: »Majątek mój wy-

starczy dla nas obojga, mówił do siebie, ożenię się z nią!

W dzień samego ślubu, kiedy już ubierano Pannę młodą, dla udania się z przepychem do Urzędnika Cywilnego, a zlamtad do kościoła, przyjaciel mój wchodzi przypadkiem do pokoju toalety swej narzeczonej, i widzi na postumencie piękne włosy blond, z których perukarz zachwycające układa loki, a głowę swej żony przyszelej. ah! prawie tysią. Ledwo nie struchlał z zadziwienia, serce się jego ścisnęło, i przejęty śmiertelnym smutkiem udał się do swego pokoju, oczekiwać, aż peruka blond włożoną będzie.

Widział biedny, jak z róży szczęścia jego listek po listku opadał. Płakał nad sobą, nie mogąc nawet najlepszemu z przyjaciół powierzyć śmieszności swego nieszczęścia. Starał się sam pocieszać siebie i dodawać odwagi; myślał, że chociaż ona nie ma talentów, pieniędzy, ani włosów, jednakże jest dobrą, słodką, cierpliwą, a te szczęśliwe przymioty warte są więcej, niż złoto, które się straci, i włosy, które można kupić. Wtem oznajmiono mu, że tylko na niego czekają. Jak ten, co idzie na rusztowanie, udał się za nimi, podał rękę Pannie młodej, a wsadzając ją do powozu, nie uważał, że nadepnął na długi woal, który spadał aż do ziemi, i rozerwał go: »Ach! jak jesteś niezgrabny!» wyrzekła pan. na z matym akcentem zapalczywości, której zapomniała przytłumić. Na ten raz miara się przepełniła.

Cierpliwy kochanek nie odpowiedział. W milczeniu wysiadają do Urzędnika Cywilnego; ten po odczytaniu formalności zapytuje: »Panna Zofia Hortensya D. chcesz wziąć za męża Pana Hipolita Artura N.?« — Chcę. — odpowiedziała słabym głosem, z spuszczonej oczyma. »Hipolit Artur N. chcesz wziąć za żonę Pannę Zofiją Hortensyją D.?« — Nie! — krzyknął piorunującym głosem rozgniewany młodzieniec i wyszedł.

Spodziewam się po przezorności panienek, że się nie omylą nad sensem moralnym tego zdarzenia, i przynajmniej do powrotu z kościoła nie wydadzą się z niczem.

Na tem kończę moje opowiadanie, ale upraszam bardzo, aby mnie nie obwiniano, że tylko rzecz moją ze złej widział strony, i w klasie tak zajmującej, panienek na wydaniu nie umiał odróżnić; tych młodych osób, ozdobionych różnemi talentami, z których się bynajmniej nie wynoszą, równie niewinnych jak pięknych; i które, aby być szczęśliwymi w życiu, nie żądają jak wzajemnej miłości z czystego pochodzącej serca, człowieka odpowiadającego ich wiekowi, któremu by przez swe słodkie i przychylne starania uprzyjemniały pożycie.

Szczegulniej znam jedną anielską dziewczę, cudownej postaci; miłość i wstyd są w jej oczach, hojaźń i przekonanie w jej ustach; białość lilii, rumieniec róż, ozdabiają jej lica, — obraz wdzięku i romantycznej piękności; zabawna, dobra, poważna i tkliwa, jak serdeczny przyjaciel, wier na jak on; serce męskie w pięknem ciele kobiety, kochająca i czysta jak siostra!

POETKI CHIŃSKIE.

(Dokończenie.)

Szyn-sze nie była jeszcze zamężną, a już wiatrom powierzała swoje poezyjne uniesienia. Hu-ke-tu, uczony Mandaryn, widział raz leżący przed sobą zgrabnemi literami zapisany liść bambusowy; złapał go i wyczytał następujące zwrotki:

»Przybądź, przyjacielu, i osusz ty z ocz moich płynące: uszczęśliw mię swoją pociechą! opuść złociste pałace i przybądź do mnie, ażebym wiedziała, co może miłość nad tobą.«

»Nie papierowi powierzam cierpienia moje, nie na kamieniu je ryję, ale pożyczam sobie

»od jesieni liści, gesto z drzew spadających, a
»potem poruczam je lekkiemu powiewowi Ze-
»fira.«

»Zefirze! łagodnem tchnieniem twojem po-
»wiej ten lekki lietek ku temu, do którego
»wzdycham; oby go odezwał, mnie pokochał, i
»oby miłość jego wyrwała mi z objęcia śmier-
»ci.«

»Lecz ach! cóż ja to mówię? nie będzież on
»głuchy nagłos mój? może nie zechce uleść potę-
»dze miłości? O! jakżem była nieprzeznana! mo-
»że ów, co znajdzie liść ten drogi, nigdy nie po-
»zna się ze mną.

Młody Hu-ke-tu był więc, jak się wyżej rze-
kto, tym szczęśliwym śmiertelnikiem, który zna-
lazł skarb ten, i jak rzecz najdroższą przecho-
wał; tak często odczytywał napisane na liściu
zwrotki, że się ich w końcu na pamięć nauczył.
Czas łączenia się ślubem małżeńskim zbliżył
się nareszcie, i Mandaryn, szczęśliwym wiedzio-
ny trafem, obrat właśnie Szyn-sze za małżonkę.
Mimo starań wszelkich nie mógł dowiedzieć się
dotąd o autorce onych wierszy. Gdy więc ra-
zu jednego, według swego zwyczaju, deklamo-
wał je przed małżonką, przerwała mu ta te-
mi słowy: »Czekaj, czekaj, ja jestem autorką,«
i uzupełniła niedokończony poemat. Poezyje
Szyn-szei są przyjemne, budowa wiersza lek-
ka i potoczysta. Nie znajdzie u niej tego prze-
pełnienia metafor i przesadzonych wyrażeń, ja-
kie tak często przypadają w poezyjach wscho-
dnic, a które tak właściwe są utworom jej
współ-zapaśniczek poezyjnych. Poezyje tej damy
są bardzo w Chinach cenione i umieszczono je
wszystkie w dziele: *Pih-mei-sze-yung* (księga stu
niewiast).

Mei-Fe była faworytą Cesarza Ming-tang.
Łagodność i delikatność umysłu cechują jej po-
ezyje. Mei-Fe nie była zawsze tak szczęśliwą,
ażeby swojemu panu ciągle podobać się mogła.
Została oddaloną. Ming-tang, obaczywszy ją

później, chciał jej dać dowód względów swoich
i darował jej naszyjnik z peret; Mei-Fe nie przy-
jęła daru, i temi wierszami odpowiedziała Ce-
sarzowi:

»Nie widziszli mego żalu, nie widzisz, że je-
»stem bez pocieszenia? Ty, który wiesz o tem,
»że niczego nie żądam, tylko miłości twojej, dla
»czegoż miasto jej dajesz mi perły?«

Jeżeli, jak Chińczykowie powiadają, ma to być
epigrama, to trzeba przyznać, że ich Muza bar-
dzo jeszcze skromna.

Imię Fung-seang-liny przypomina wiel-
kie nieszczęście. Pani ta była Królową i kocha-
ną od Cesarza; atoli przy zdobyciu państwa chiń-
skiego przez Tatarów, musiała z tronu do wię-
zienia zstąpić. Fut, jeden ze zdobywców Chin,
wziął ją w niewolę, gdzie ożyiała samotność
więzienia muzyką i poezją. Gdy razu jednego,
w obecności swojego Pana, grała na pipie (lu-
tni chińskiej), urwała się struna, i poetka, korzy-
stając z tej okoliczności, improwizowała wiersz
następujący:

»Śpiewałam, o wielki Królu! a jednak byłam
»smutna, bo myślałam o ukochanym małżonku.
Chceszli poznać stan serca mego, to spojrz
tylko na pękniętą strunę mej lutni.«

U Chińczyków jest to znowu epigrama. Cóż-
kolwiek bądź, Cesarz Funt rozczulił się cierpie-
niami biednej Fung-seang liny i wrócił ją mał-
żonkowi. — Umieszczone tu wyjątki będą za-
pewne dostateczne, by dać poznać ośnowę dzie-
ła, z którego czerpane były.

Znaczenie przeszłej szarady: *Kot-lina*,
(Tak się nazywa spód wulkanu.)

S z a r a d a.

Me pierwsze znajdziesz pewno w naszym alfabecie;
Mym drugim powtórzoną zwykle bawisz dzie-
Dwie trzecie pod zasłoną prawdę ukrywają, (cie.
Przyjemnie bawią dzieci, starszych nauczają.
Wszystko ubiór ze wschodniej pochodzący stro-
Od naszych elegantek dzisiaj ulubiony. (ny,